



# Deportowani do ZSRS

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

RELACJE OFIAR GULAGU



  
DIALOG

# Deportowani do ZSRS

RELACJE OFIAR GUŁAGU

Pod redakcją  
Alina Bluma, Marty Gwóźdź,  
Valérie Nivelon

Przełożyła  
Elżbieta Brzozowska

Wydawnictwo Akademickie

DIALOG 

Warszawa 2015

Tytuł oryginału: *Déportés en URSS. Récits d'Européens au goulag*

Redakcja: Aldona Mikusińska

Skład, łamanie, projekt okładki: Ewa Majewska

Mapy: Jarosław Talacha

Na okładce wykorzystano zdjęcia: Robotnicy leśni; brat Rimgaudasa pierwszy po prawej. © Rimgaudas Ruzgys; Kobięca brygada robocza w Buriacji, Syberia, 1954. © Rimgaudas Ruzgys; Bogdan Klimczak na sowieckim Dalekim Wschodzie, 1952. © Bogdan Klimczak

Témoignages © Cercec (CNRS-EHESS) – RFI 2009-2012;  
© Autrement, Paris, 2012

Copyright © for the Polish translation and edition  
by Wydawnictwo Akademickie DIALOG, 2015

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Ouvrage publié avec le concours du Ministère français chargé de la  
culture – Centre national du livre

Książka wydana przy wsparciu francuskiego Ministerstwa Kultury –  
Narodowego Centrum Książki

ISBN (ePub) 978-83-8002-289-8

ISBN (Mobi) 978-83-8002-293-5

Wydawnictwo Akademickie DIALOG

00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./fax 022 620 87 03

e-mail: [redakcja@wydawnictwodialog.pl](mailto:redakcja@wydawnictwodialog.pl)

[www.wydawnictwodialog.pl](http://www.wydawnictwodialog.pl)

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

# Spis treści

- Podziękowania
- Wprowadzenie
- Głosy świadków
- Deportacje do ZSRS – długa historia
- ZSRS – ziemia obiecana?
- Wydarzenia i wspomnienia
- [Środowisko \(otoczenie\)](#)
  1. Uratowani przez deportacje
  2. [Bić się i zwyciężać](#)
- [Praca](#)
  1. Obrazy dzieciństwa Wydawnictwo Prószyński & Ska Copyright wersja elektroniczna
  2. Zająć swoje miejsce w ciszy
  3. [Przeżyć. Gorzka szkoła i poczucie humoru Pana Boga](#)
- Dzieciństwo
  1. Głód, niezmordowany wróg
  2. Z obozów specjalnych w Niemczech do obozów GUŁagu
- Życie wspólnotowe i życie religijne
  1. Trudny powrót
  2. Zsowietyzować się?
- Kultura i czas wolny
  1. Wiejska dusza
  2. Więzienna droga ultranacjonalisty

- Aneksy
- 1. Sowieckie represje, Gułag i pamięć o nim – chronologia
  2. Glosariusz
  3. Bibliografia
  4. O autorach
  5. Spis map
- Przypisy

Wszystkie rozdziały dostępne w pełnej wersji książki.

## Środowisko (otoczenie)

### Bić się i zwyciężać

---

Adam Chwaliński przyszedł na świat w grudniu 1928 roku na Polesiu (dzisiejsza Białoruś), w regionie zamieszkanym głównie przez ludność białoruską. Jego rodzice sprowadzili się tam kilka lat wcześniej jako osadnicy cywilni, którym to mianem określano polskich chłopów, którzy pod wpływem zachęt władz osiedlali się na wschodnich kresach. Dziesiątego lutego 1940 roku pięćdziesiąt dwie rodziny tworzące Kolonię Ostrówek – rodzinną wioskę Adama – zostały zatrzymane przez NKWD i deportowane. Represje dotknęły wszystkich członków rodziny Chwalińskich, na którą składali się: Adam, jego rodzice, siostry Ewa (Gienia) i Ania, młodszy brat Tadeusz, liczący wówczas dwa i pół roku, starszy brat Władysław z żoną Bronią i trójką dzieci, starsza siostra Maria – zamężna, mieszkająca w innej wsi-kolonii tego regionu, jej mąż oraz dwie ciotki – zarówno ze strony matki, jak i ojca – wraz z rodzinami.

### **Doświadczenia dzieci-zesłańców – praca, choroby, śmierć**

Po trwającej cały miesiąc podróży rodzina przybywa do Kotłasu w obwodzie archangielskim, po czym, przeprawiwszy się przez zamarzną rzekę, dociera do miejsca zsyłki – wioski Szund-Oziero, zbudowanej niewiele wcześniej przez Ukraińców deportowanych tu z polskich terenów przygranicznych. Od samego przyjazdu matka Adama ciężko choruje, dzięki czemu jest zwolniona od obowiązkowej pracy.

Od 1 maja jedenastoipółletni Adam i czternastoletnia Ewa pracują pospół z ojcem – również słabego zdrowia, lecz uznanego za zdolnego do pracy – w tajdze, gdzie uczą się wyrębu lasu. Siedemdziesiąt lat później Adam potrafi opisać z niezwykłą precyzją pracę, którą wykonywał jako dziecko. „Nasze zadanie polegało na oczyszczaniu wiatrołomów [drzew powalonych pod wpływem wiatru lub ze starości]. Miały służyć na opał, należało więc je wyciągnąć, odciąć korzenie, pociąć na kawałki długości 75 centymetrów a potem, jeśli były duże, podzielić na cztery lub osiem części, a jeśli były małe – na dwie; tylko końcówek już nie cięliśmy. [...] Pnie, ułożone jedno na drugim, tworzyły wielgachne stosy. Zdarzało się, że kiedy źle zabieraliśmy się do cięcia, tworzyło się coś, co nazywaliśmy «napięciem»: kawałek [korzenia, który właśnie staraliśmy się odciąć] naciskał na inny, na drugim końcu pnia, przez co mogliśmy być wyrzuceni w powietrze. Zdarzyło mi się to dwukrotnie. Moja siostra, choć starsza ode mnie o trzy lata, bała się wspiąć na kloce, bo trzeba było wdrapać się na wysokość półtora metra lub dwóch metrów nad ziemią. Korzenie tych gigantycznych drzew były niezbyt głębokie, ale bardzo rozrośnięte; kiedy takie drzewo padało, pnie były pokryte ziemią na wysokość wielu metrów. Tak więc sam wdrapywałem się na górę, moja siostra stała na dole i piłowaliśmy. Zanim doszliśmy do końca wszystko pękało i spadało w błoto. Było to dość niebezpieczne, ponieważ gdybym upadł wtedy na ziemię i znalazł się pod spadającym pniem, nie zdołałbym się wydostać. To była bardzo trudna praca. Nieraz musieliśmy użyć wielu klinów, żeby rozłupać drzewo, całe poskręcane pod wpływem wiatru. Wcześniej, w Polsce, nigdy nie widzieliśmy tak powykręcanych drzew, zwłaszcza świerków... Tak więc musieliśmy włożyć w to nieco trudu. Dzienna norma wynosiła dwa kubiki, każdy o szeroki na 75 centymetrów, wysoki na 1,25 metra i długi na 2 metry”.



Precyzja, z jaką Adam opisuje swoje zadania odzwierciedla wysiłek, jaki będąc dzieckiem wkładał w tę przymusową pracę – wysiłek niezbędny, żeby uniknąć wypadku i wyrobić normę, a potem otrzymać zapłatę wystarczającą ledwie na zakup chleba i zupy, która zupę przypominała tylko z nazwy. Norma była taka sama dla wszystkich. Nie bez dumy właściwej dziecku, któremu kazano rywalizować z dorosłymi („Ukraińcami – starszymi, silniejszymi i bardziej doświadczonymi”) oznajmia: „Z czasem wyrobiliśmy się i mogliśmy wypracować narzuconą normę”. Zaraz potem podkreśla, że jako młody chłopak był „przodownikiem pracy”.

Z tą samą dokładnością opisuje drugie zajęcie, jakim trudnili się z siostrą zimą na przełomie 1940 i 1941 roku – utrzymanie w czystości „łazni” w wiosce wysiedleńców. Ciężka i niebezpieczna – nieraz upadł niosąc wiadra pełne wody, którą należało napełnić zbiorniki – praca ta stała się okazją do zgłębienia sztuki kombinowania, do której wszyscy zesłańcy uciekali się, by obejść nieludzki system organizacji pracy i wynagrodzeń, który skazywał ich na głodowanie. Dzięki tej pracy mógł też odkryć solidarność ukraińskich współwięźniów, których podziwiał za siłę, jakiej jemu samemu brakowało: „Miałem dodatkowe źródło dochodów. Sprzedawaliśmy bilety do łazni. Mój ojciec dostawał cały ich plik, wejście kosztowało 20 kopiejek. W lesie zarabialiśmy z trudem rubla... Młodzi Ukraińcy widząc, jak ciężko muszę pracować, litowali się nade mną. Większość z nich dawała mi pieniądze, ale nie brała biletów. Tym sposobem mogłem trochę dorobić. Czasem rubla, czasem nawet trochę więcej. Za to miejscowi nie mieli takich odruchów”.

Wiosna 1941 roku oznaczała powrót do tajgi. Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej przyczynił się, paradoksalnie, do poprawy sytuacji materialnej zesłańców w Szund-Ozierze, a to dzięki zbieraniu czarnych jagód, drugiemu obok ścinania drewna

zajęciu, do którego zachęcały wioskowe władze, ze względu na duże zapotrzebowanie na te znane ze swych właściwości leczniczych owoce, skuteczne zwłaszcza w leczeniu chorób oczu, na które cierpieli żołnierze. Dzięki temu Chwalińscy mogli kupić nowe ubrania, zastępując nimi te przywiezione, które ojciec stopniowo wyprzedawał w sąsiednich „wolnych” wioskach, by kupić choć trochę żywności. Mimo tych wysiłków dwoje dzieci umiera z głodu – mały Tadzio i córeczka Władysława.

Dopiero w listopadzie 1941 roku polscy zesłańcy w Szund-Ozierze dowiadują się o prawach, jakie zyskali dzięki układowi Sikorski–Majski, zawartemu między polskim rządem emigracyjnym w Londynie a Związkiem Sowieckim, który między innymi stworzył możliwość sformowania w ZSRS polskiej armii. Rodzina Chwalińskich udaje się do punktu zgrupowania „amnestionowanych” polskich zesłańców z rejonu Kotłasu i dołącza do konwoju zmierzającego do Azji środkowej. Mają nadzieję, że na miejscu warunki życia będą znośniejsze, lecz wiozący ich tam pociąg zapisuje się na zawsze w pamięci Adama jako „pociąg śmierci”. W czasie podróży umierają Stefek i Zdzisio, dwaj synowie starszego brata Adama. W czasie jednego z postojów ojciec posuwa się do zabicia bezpańskiego psa, by nie zginęli z głodu.

Po przybyciu do Kirgistanu Chwalińscy trafiają do kołchozu Czapajew, nieopodal Tokmaku, specjalizującego się w produkcji wieprzowiny – mięsa, którego miejscowi muzułmanie nie jedzą. Bratowa Adama zostaje odesłana do budowy kanałów nawadniających, inni sami muszą sobie szukać zajęcia, by zarobić na chleb. Chorujący od miesięcy Władysław, którego śmierć dzieci pogrzyła w apatii, nie jest w stanie dłużej walczyć o przeżycie. Adam i jego ojciec wynajmują się u mieszkańców najbliższego miasta, Tokmaku – w zamian za jedzenie uprawiają ich ogródki. Młodsza siostra Ania, podobnie jak wujek ze strony

ojca i jego żona, zebrzą i kradną; Gienia nie nadaje się ani do jednego, ani do drugiego.

Wiosną 1942 roku Polacy z kołchozu Czapajew padają ofiarą epidemii. Pewnego kwietniowego dnia, ze strachu przed zarażeniem, kirgisy kołchoźnicy wypędzają ich z wioski. Akurat wtedy Adam pracuje sam w Tokmaku, zaś jego ojciec jest w drodze do biura Poselstwa Rzeczypospolitej Polski, które stworzono w ramach układu Sikorski–Majski, by pomóc rodakom przebywającym w tym regionie. Dowiedziawszy się o wypędzeniu Polaków z Czapajewa, ojciec Adama czym prędzej udaje się do miejsca, gdzie ich zgromadzono. Nie odnajdując tam swojej żony sądzi, że jako niezdolną do transportu pozostawiono ją w wiosce, więc przepławia się po zamarniętej rzece, by na miejscu dowiedzieć się, że została jednak ewakuowana. Ponownie przekracza rzekę i odnajduje całą rodzinę, czekającą na przeniesienie niedotkniętych epidemią Polaków do innego kołchozu w okolicy. Wyznaje żonie, że po drodze skradziono mu pieniądze, które otrzymał w Poselstwie. Ta wiadomość dosłownie ją zabija. Przybywszy na miejsce, Adam dowiadyuje się o śmierci matki. Zaraz potem musi stawić czoła kolejnym potwornościom tego straszego dnia: „Przychodzę i widzę niewiarygodną scenę. Na środku ulicy, stojąc z szeroko rozłożonymi ramionami, moja mała siostrzyczka krzyczy i zanosi się płaczem. Musiała właśnie zrozumieć, co się stało, że mama umarła. Coś zaczęło mnie dławić w gardle. Nie mogłem płakać, nie mogłem mówić, kompletnie nic. Straciłem głos. Ojca nie było, poszedł zaprowadzić mojego starszego brata do szpitala. Ludzie mówili mi: «Adam, zabierz swoją siostrę Gienię do szpitala, siedzi tu, koło zmarłej matki i za chwilę jeszcze sama umrze. Jest prawie nieprzytomna». Wziąłem ją za rękę i poprowadziłem do szpitala. [...] Kiedy wróciłem do miasta ojciec czekał na mnie sam. Zrozpaczony odezwał się do mnie: «Wiesz, pochowaliśmy już

mamę, musieliśmy się śpieszyć, zawinęliśmy ją w koc, leży gdzieś tu, nieopodal rzeki». Nawet nie pokazał mi tego miejsca i powiedział, że musimy się zbierać. Zrobił już wywiad i dowiedział się, gdzie powinniśmy się stawić. [...] Powędrowaliśmy na drugi koniec miasta, lecz nagle ojciec zatrzymał się, jakby natrafił na mur, i zaczął majaczyć. W czasie przeprawy przez zamarzną rzekę złapał zapalenie płuc i podskoczyła mu gorączka, tyle że wtedy nie miałem o tym pojęcia. Potrząsałem nim i wtedy powiedział mi tak: «Pamiętaj, w każdej chwili mogę umrzeć. Pamiętaj, żebyś pochował mnie na cmentarzu»”.

Wieśniacy, widząc Adama zalanego łzami, radzą mu, żeby udał się do polskiego Poselstwa z prośbą o pomoc. Tam otrzymuje dziesięć rubli, kupuje mleko i wraca do ojca, którego stara się, na próżno, nakarmić. Przedstawia całą sytuację władzom kombinatu, który miał ich przyjąć, a te pozwalają mu wypożyczyć pod koniec dnia wózek, by mógł przewieźć chorego do lecznicy. Ojciec zostaje w szpitalu, a Adam spędza noc w poczekalni. Wraca do biura kombinatu, skąd kierują go do odległego o 13 kilometrów miejsca, gdzie przeniesiono siedem rodzin wyrzuconych z Czapajewa. Tam odnajduje swoją młodszą siostrę. „Chwilę przed tym, jak się tam zjawiłem miejscowe kobiety zapakowały do torby mojej zapłakanej siostry jakieś pół litra suchej kaszy manny. Szedłem tam drogą obsadzoną kwitnącymi drzewkami czereśni. Było ich strasznie dużo, a intensywny zapach kwiatów był wprost odurzający. Ktoś musiał zobaczyć mnie na tej drodze i donieść o tym mojej siostrze. Wybiegła cała szczęśliwa i pochwaliła się, że przygotowuje nam obiad. Tyle że wsypała do garnka całą kaszę na raz. Możecie sobie wyobrazić, jaki był efekt! Mając taki zapas mogliśmy przygotować przynajmniej z pięć posiłków, a nawet więcej, jeśli zrobić z kaszy zupę. W trakcie gotowania bez przerwy dolewaliśmy do garnka wody –

wybieraliśmy kaszę i dolewaliśmy wody... Nikt jej nie powiedział, jak się gotuje kaszę. Każdy zajmował się sobą”.

Dwójka dzieci pracuje przez dwa tygodnie na zagonach kombinatu. Potem wychodzi ze szpitala ojciec, a rodzeństwo zostaje umieszczone w ochronce, stworzonej w Tokmaku przez Poselstwo RP. Dla chłopca zaczyna się nowy etap.

## **Polskie sierocińce – kruche bezpieczeństwo**

Dzięki temu, że znalazł się w ochronce – na początku były to po prostu namioty rozstawione w ogrodzie wynajętym przez polskie Poselstwo – liczący wtedy trzynaście lat Adam może podjąć przerwana naukę, którą teraz starają się zapewnić polskie władze. Pół-sierota, nawiązuje nowe znajomości z innymi dziećmi, nauczycielami – również deportowanymi – oraz mieszkającymi w mieście polskimi zesłańcami, z którymi ochronka utrzymuje bliski kontakt.

Jednak na początku zimy na przełomie 1942 i 1943 roku chłopiec i jego rodzina znów są zdani sami na siebie. W wyniku pogorszenia stosunków między rządem sowieckim a polskim rządem londyńskim oraz w obliczu ewakuacji na Bliski Wschód stworzonej w ZSRS polskiej armii generała Andersa, ochronka traci finansowanie i zostaje zamknięta. Jej nieliczny personel ryzykuje więzieniem, gdyż radzi dzieciom, by nie godziły się na przeniesienie do sowieckich sierocińców: „Bo wtedy już nigdy nie wrócicie do Polski”. Ojciec Adama wynajmuje więc kąt u pary rosyjskich inwalidów w zamian za *kuraj* – oset wykorzystywany do palenia w piecu – którego naręcza Adam zbiera w okolicach miasta. Żywią się „pierogami”, które Gienia lepi ze zmarzniętych, zbieranych na polu buraków cukrowych i zboża, kupowanego za pieniądze ze sprzedaży *kuraja*.

## Przeżyć. Gorzka szkoła i poczucie humoru Pana Boga

---

„Ta siła wpływała z samotności...”

Klára Hartmann Jozsef, urodzona jako Rozsa Nagy: „Gdzie to wszystko się zaczęło? Urodziłam się 30 maja 1930 roku w Miskolcu, na północnym wschodzie Węgier; myślę, że moi rodzice byli chłopami. Umarli bardzo młodo. Jak? – nigdy nie zdołałam się dowiedzieć. Poza imieniem z dzieciństwa nie pozostał mi żaden ślad ani po nich, ani po naszym domu. Moje najwcześniejsze wspomnienia pochodzą z czasów, kiedy miałam 3–4 lata, kiedy mieszkałam już z wujem i jego żoną niedaleko Miskolca. Żadne z nich nigdy nawet nie rozmawiało ze mną o rodzicach. Wuj był oficerem żandarmerii; ulica, przy której mieszkaliśmy, mieściła też koszary i mieszkania dla podoficerów. Młoda służąca przychodziła do sprzątanía, ja chodziłam do wiejskiej szkoły – to było spokojne życie samotnej jedynaczki... W każdym razie do końca 1944 roku.

Zimą na przełomie lat 1944/1945 radio w naszym domu było stale włączone: Niemcy i Sowieci wdali się w krwawą walkę o każdą pobliską wioskę; każdego dnia fronty posuwały się i cofały. Pewnego grudniowego wieczoru 1944 roku, przed wkroczeniem Sowieców, wuj i ciotka zwrócili się do mnie i służącej z prośbą, żebyśmy dopilnowały domu do czasu ich powrotu i uciekli z wioski w kierunku granicy. Wtedy widziałam ich po raz ostatni.



Wydaje mi się, że to było dwa później, wczesnym rankiem... Na naszą ulicę wkroczyła armia sowiecka. Przez okno widziałam, jak żołnierze atakują koszary, a potem wchodzi do naszego domu. Chwilę później przyszła kolej na nas. Wyważyli drzwi. To byli rumuńscy żołnierze; towarzyszył im człowiek z naszej wioski. Jeden chwycił mnie, krzycząc, drugi zabrał się za służącą. Zniknęła. Mnie zabrali do piwnicy położonego w centrum budynku, który zarekwirowali na dowództwo sztabu; kłębił się tam cały tłum. Nie miałam jeszcze czternastu lat i nie zobaczyłam tej ulicy do grudnia 1953 roku”.

Dzień chylił się ku wieczorowi. Jest czerwiec 2009 roku, siedzimy w przytulnej jadalni wielkiego, odremontowanego, wiejskiego domu w Gödre, w regionie Somogy, gdzie Klara Hartmann po raz drugi w życiu opowiada o tym okresie. Pierwszy raz uczyniła to w 1999 roku na prośbę węgierskiego filmowca Sándora Sary, który nakręcił film dokumentalny poświęcony Węgrom w gułagu. Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna Częstuając nas domowym ciastem Klara w kilku słowach wspomina swoje rozczarowanie „cięciami”, jakich na potrzeby filmu Sára dokonał w udzielonym przez nią wywiadzie oraz „chłód”, jaki czuła starając się znaleźć resztki „swojego” obozu w Kazachstanie wraz z dziesiątką innych ocalałych z gułagu Węgrów, bohaterów tego samego dokumentu. Patrzymy na Klarę Hartmann: gęste białe włosy, piękne rysy lekko tylko muśnięte upływem czasu, zwinna sylwetka i stanowczy głos, który często zawisa w momentach ciszy, po których padają słowa „nie mogę o tym mówić”.

„Potem zabrali nas do wioski Rakamaz. Nie zachowałam żadnych wspomnień z tych dni. Nic nie widziałam ani nie słyszałam, nie byłam w stanie dostrzec nic z tego, co działo się wokół mnie. Potem zapakowali nas do bydlęcych wagonów, po pięćdziesięcioro do jednego, razem kobiety i mężczyzn. Na wagonach widniały napisy «Transport z reparaacjami wojennymi».

Całe dni wypełnione pragnieniem, głodem, chaosem, postojami... Niektórych wyprowadzano z wagonu, innych przyprowadzano... Jedliśmy tyle co nic. Potem znalazłam się w więzieniu dla kobiet w Kijowie, gdzie zostałam niemal rok. Byłam tam jedyną Węgierką, poza mną siedziały same Rosjanki, po dziesięć w jednej celi. Zabierały mi moją menażkę z zupą, chleb, rozbierały mnie siłą, żeby zabrać moje rzeczy, biły mnie krzyżąc «faszystka, faszystka!», bo byłam Węgierką. Broniałam się, oddawałam im, jak tylko mogłam... Gdybym nie miała tej siły płynącej z samotności, prawdopodobnie nie przeżyłabym...

Po dwóch miesiącach w takich warunkach byłam już w bardzo złym stanie. Wtedy przenieśli mnie do izolatki, żeby zacząć nocne przesłuchania. Oskarżali mnie o szpiegostwo na rzecz Niemców, odmawiałam, nie rozumiałam o co im chodzi. Potem przez cały dzień musiałam być przytomna, nie pozwalali mi spać ani przez chwilę. Tłumacz, żołnierz-Rusin z Zakarpacia, który dość dobrze mówił po węgiersku, powiedział mi pewnego dnia: «Przyznaj się, że szpiegowałeś, bo inaczej twój zezwłok tu zgnije».

W tym więzieniu działo się wiele rzeczy... Przywiązywali mnie pod kranem, z którego, kropla po kropli, kapłała mi na głowę lodowata woda. Mówili na to *boks*. Mimo tego nie podpisywałam zeznań, człowiek ma jednak swoją godność... Rozbierali mnie do naga i... Nie lubię o tym mówić. Dziecko... Myślę, że nie gwałcili mnie we właściwym tego słowa sensie, bo byłam zbyt chuda i brzydka, za to... wrzucali mnie do celi pełnej Rosjanek, które zabawiały się mną... więc broniałam się, tamte mnie biły... Nie mogę o tym mówić...

W końcu podpisałam przyznanie się do szpiegostwa, ale oni chcieli żebym opisała też, gdzie nauczyłam się szpiegować, podała nazwiska instruktorów... Więc z pomocą tłumacza powypisywali, co mogli... Potem, po kilku miesiącach spędzonych znowu w celi z Rosjankami, około Bożego



Narodzenia 1945 roku, siedząc w sali przesłuchań podpisałam dokument stwierdzający, że zostałam skazana na dziesięć lat obozu. Tłumacz powiedział tylko: «Tam będzie ci lepiej, być może przeżyjesz i potem będziesz żyła w Rosji». Byłam prawie zadowolona, bo sądziłam, że gorzej już być nie może...

Dali mi palto, czapkę i potwornie zniszczone wojskowe buty, bo prawdę mówiąc nie miałam już na sobie prawie niczego i wsadzili mnie do wagonu. Straszliwe zimno, wiatr sypiący śniegiem, a w wagonach niemożliwy ścisk, mnóstwo obcych ludzi mówiących po rosyjsku. Od czasu do czasu dawali nam soloną rybę; nie byłam w stanie jej przełknąć, albo chleb, który starsi natychmiast mi wyrywali. Ani tam, ani później w Uchcie – niedaleko Workuty – nie było nikogo, kto by mnie bronił...”

### **„Jak szkoła, ale bardzo gorzka szkoła”**

Klara zostaje przydzielona do cięcia drewna i bezustannie głoduje. Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna Kobieca Brygada wychodzi o świcie, przywiązane jedna do drugiej w grupach po pięć – by żadna nie oddaliła się ani nie została przewrócona przez burze śnieżne – muszą załatwiać swoje potrzeby w spodnie, bo jakikolwiek postój jest surowo zabroniony i stwarza niebezpieczeństwo. Spodnie twardnieją na nich podczas jedynej w ciągu dnia dozwolonej przerwy wokół ognia, potem zamarzają na nowo w czasie powrotu i drogi do kuchennego okienka po kawałek chleba i zimną, cienką zupę. Kobięcy barak jest ogromny i przeludniony; na samym końcu jest puste pomieszczenie „na umycie się”. Klara przygląda się, jak inne kobiety zbierają wyrzucone przez strażników puszki po konserwach i napełniają je śniegiem. Pośrodku baraku stoi wielka beczka z odprowadzającą dym rurą, do której wrzucają przyniesione kawałki drewna, by się ogrzać. Na niej ustawiają „swoje” puszki, by móc się umyć letnią wodą. „Kobiety cały czas biły się wokół beczki: jedna wylewała lub przewracała wodę

innej, krzyczały i drapały się jak dzikie. To były Rosjanki; czuły się lepsze, wszystko nam zabierały – dziewczynom z krajów bałtyckich, Finlandii, Ukrainy i mnie, jedynej Węgierce, małej i nieznałej rosyjskiego. Terroryzowały i biły nawet kucharki, opróżniały zapasy jedzenia, robiły różne rzeczy ze strażnikami... Nie mogę o tym mówić”.

Klara spędzi w Uchcie trzy lata. Na początku zdecydowanie odmawia uczenia się rosyjskiego, „języka wroga”, w końcu jednak, z konieczności, stopniowo przyswaja go sobie. Zadając nieśmiało pytania, odkrywa istnienie innej Węgierki, Margit Rozsy. Tamta, więziona już od dawna pracuje w cegielni i ma prawo do dodatkowych racji żywnościowych, którymi jednak nigdy nie dzieli się z Klarą. „Była surowa, prawie się nie odzywała, nigdy nie dowiedziałam się niczego na temat jej życia; bałam się jej”. Później Klara pozna Annę, młodą węgierską Cygankę z Zakarpacia, skazaną na trzy lata za próbę nielegalnego przekroczenia granicy i przedostania się na Węgry. Dziewczyna zajmuje się karmieniem świń w „sektorze rolnym” obozu. Narażając się na surowe kary, przynosi często Klarze przemyczone w spodniach ugotowane marchwie i ziemniaki dla świń. „Dla mnie to był prawie koniec...” – wyrzuca z siebie jednym tchem. „Ona była dobra... Jednak w obozie nikt nie przejmował się życiem innych. Zadowalałyśmy się przeżyciem... Szybko ją straciłam; została zwolniona” – dodaje Klara drżącym głosem, po czym milknie na długo, z zagubionym wzrokiem.

W 1948 roku, na mocy nowego dekretu powstają obozy specjalne dla „szczególnie niebezpiecznych więźniów”. Pewnego dnia Klara znowu zostaje zamknięta w wagonie i wysłana w trwającą wiele tygodni podróż do Kazachstanu. Wśród lodowatych podmuchów wiatru niosącego śnieg, krzyków tych, którym zamarzają stopy, w głodzie i pragnieniu znowu doświadcza przemocy ze strony silniejszych. „Nigdy nikt mnie

nie bronił: taki mój los. Dopiero dużo później, w nowym obozie, poznałam pewną Węgierkę, Rozsi Kozmę, skazaną w wieku dwunastu lat na osiem lat przymusowych robót.

Była moją pierwszą przyjaciółką, ale ponieważ była tam już długo, rok później ją zwolniono. Spotkałyśmy się ponownie podczas kręcenia filmu dokumentalnego Sándora Sary w latach dziewięćdziesiątych – nie pamiętała mnie...”

Na miejscu zastają gorący zaduch i ogromny bunkier wydrążony pod ziemią: na początku przebywało tam dwustu pięćdziesięciu więźniów. Klara wspomina pewne uczucie wolności w obliczu braku drutu kolczastego i „całkowitej pustki” niezamieszkanego stepu. Zaraz potem strażnicy każą im dalej kopać i przygotowywać ziemianki do rozbudowy obozu. Pierwszy wielki barak – przeznaczony dla kobiet – oraz drugi – dla mężczyzn i mur oddzielający jeden od drugiego zostają ukończone przed nadejściem zimy. Potem zaczynają budowę kolejnych baraków, kuchni, łaźni i latryn, biur i pomieszczenia dla strażników oraz dyrekcji: „W dwa lata powstały prawie ulice, z ogromnymi barakami mieszczącymi po dwieście osób, ale z dzielącymi je w środku murami. Przywozili coraz więcej kobiet – było nas już niemal dziesięć tysięcy. Byłyśmy zorganizowane w wyspecjalizowane brygady – jedne w robotach ziemnych, drugie w kamieniołomach, jeszcze inne w cegielni. Kobiety pracowały dużo ciężiej niż mężczyźni, to nas zawsze wyznaczano do pracy w nocy. Poza tym to my zbudowałyśmy miasto: mieszkania, to znaczy izby w rosyjskim stylu dla rodzin wolnych pracowników; potem fabrykę oczyszczania uranu, który mężczyźni wydobywali w położonej czterdzieści kilometrów dalej, ponoć bardzo niebezpiecznej kopalni” – mówi Klara nie bez pewnej dumy w głosie.

Uran przyjeżdżał w zaplombowanych wagonach. Kierowane do prac ziemnych często obserwowały je z daleka i widziały napisy

„Hungaria” lub „Pecz”. „Dla mnie, tkwiącej w tym bezkresie pustkowiec, te wagony były Węgry” – kontynuuje po długiej ciszy. „W tej wibrującej ciepłem pustce odwracało się wzrok i myślało: być może tam jest mój kraj. Cały czas tęskniłam za ojczyzną, choć nie było tam nikogo z moich bliskich; ani rodziców, ani rodziny, ani przyjaciół. Nigdy już nie spotkałam mojego wuja, który zmarł w więzieniu; przez całe życie nie odnalazłam nikogo. Później również byliśmy uważani za wrogów i zdrajców, być może dlatego nikt nie chciał ze mną rozmawiać o rodzinie. Te dziewięć lat obozu zatarło też wiele rzeczy we mnie samej i kiedy nadszedł czas powrotu, bałam się. Gdzie pójdę? Co się ze mną stanie?”

W 1950 roku Klara zna już rosyjski na tyle dobrze, by przedzielano ją do prac, za które wynagradzano nieco wyższymi racjami żywnościowymi. Wchodzi w skład „bardzo dobrej brygady”, złożonej z Ukrainek, których szefowa, Julia Iwanowna, lekarka, ma talent do wybierania dla swoich podwładnych najmniej wyczerpujących, za to najbardziej popłatnych robót. „Później poczułam, że nauczyłam się tam wielu bardzo ważnych w życiu rzeczy: jedną z nich była bez wątpienia praca bez narzekania, lecz dużo ważniejsze były wzajemna pomoc, szacunek i solidarność przekraczająca granice narodowości. Te ukraińskie więźniarki polityczne, jako obywatelki sowieckie, mogły dostawać paczki – wszystko, co otrzymywały, dzieliły po równo między nas wszystkie, podobnie młoda Litwinka, z którą się zaprzyjaźniłam. Nareszcie... To było najpiękniejsze... Dziś myślę sobie, że gułag był niczym szkoła... ale szkoła bardzo gorzka”.

W marcu 1953 roku Klara dowiaduje się od kobiet, które ryzykowały rozmowy ze strażnikami, o śmierci Stalina. Stopniowo więźniowie-obcokrajowcy zaczynają opuszczać obóz. Klara pojmuje, że powrót jest blisko, gdy w biurze dyrekcji

zdejmują z niej miarę: ma dostać sukienkę i buty. Później ciężarówki wiozą kobiety na dworze, wraz z litewskimi i łotewskimi więźniami. Wyładowują ich z pociągu w innym obozie, w Żezkazganie. Zauważa tam swoją szefową brygady Julię Iwanowną, poddaną środkom dyscyplinarnym. Później, od czerwca do grudnia przebywa w Kijowie; spędzają cały miesiąc nie pracując, zamknięte w baraku, odcięte od reszty wielkiego obozu: pięćdziesiąt kobiet, które boją się wyjść, pośród dwóch i pół tysiąca zwolnionych młodych Węgrów, którzy, wszyscy bez wyjątku, „chcą się zaznajomić”. Następnie zostają przeniesione do wielkiego pustego budynku, otoczonego ogrodzeniem, sąsiadującego ze szpitalem, do którego trafiają chorzy więźniowie węgierscy. W piwnicach znajdują ziemniaki i marchewki: „potrzebowałyśmy tych sześciu miesięcy bez pracy za to z wyżywieniem, by na nowo przypominać ludzkie istoty”. To właśnie przez to ogrodzenie Klara porozmawia po raz pierwszy ze swoim przyszłym mężem, jencem wojennym. On opowiada jej o swojej wiosce, leżącej w pobliżu granicy Nyírácsád, o swoich rodzicach i rodzeństwie; ona mówi mu, że nie ma nikogo i nie wie, jaki adres zamieszkania podać po przyjeździe władzom.

**„Zawsze miałem towarzystwo...”**

W pokoju wypełnionym książkami, dokumentami i przedmiotami kultu w dużym, staroświeckim apartamencie w Budapeszcie, Károly Placid Oloffson, którego wszyscy nazywają ojcem Placidem, szczupły, niewysoki, żywy i tryskający humorem niezależnie od okoliczności, dosłownie odegra nam całe sceny ze swego opowiadania, z niebywałym talentem do naśladownictwa i zmysłem ironii, podbudowanym częstymi wystąpieniami przed publicznością i niezawodną pamięcią. „Patrząc na moje nazwisko trudno się domyślić, że jestem Węgrem. A jednak moja rodzina to Węgrzy do szpiku kości, od czasów, gdy mój szwedzki przodek



po stronie taty przybył z Rosji na Węgry w XVIII wieku. Moja mama, choć z pochodzenia Niemka, również była Węgierką. Urodziłem się w 1916 roku w miasteczku niedaleko Budapesztu. U nas ojciec zawsze miał ostatnie słowo. Był nauczycielem w liceum katolickim, erudytą i w wolnym czasie artystą. Mama była czuła i dobra. Obydwoje, bardzo pobożni, jednocześnie uczyli nas kultury i przybliżali Boga. Moja siostra też poszła za powołaniem zakonnym; w 1945 roku uciekła z resztą swego konwentu do Austrii.

W cudownym liceum benedyktyńskim, w którym w 1933 roku zdałem maturę, udoskonaliłem znajomość języka niemieckiego, ale tym, co mnie pasjonowało była filozofia. Ponieważ jednak ojciec przełożony stwierdził, że zakon będzie bardziej potrzebował germanistów, zrobiłem doktorat z germanistyki, częściowo w Austrii. W 1939 roku zostałem wyświęcony na księdza.

W czasie wojny ojciec przełożony wysłał mnie w charakterze kapelana do szpitala wojskowego, który był często bombardowany i został przeniesiony w 1944 roku. Bez żadnej mojej zasługi moje życie zostało oszczędzone: Bóg miał zatem wobec mnie inne plany.

Pod koniec wojny nauczałem niemieckiego w liceum benedyktyńskim, najpierw w Sopronie, później w Budapeszcie. Mieszkałem u rodziców, miałem trzydzieści lat i otaczało mnie morze ruin, towarzysze, uczniowie i przyjaciele. Nigdy nie byłem sam....

Węgierscy policjanci przyszli po mnie pewnej styczniowej nocy 1946 roku. Zabrali mnie w aleję Andrásiego, pod numer 60, do siedziby policji politycznej. Tam, przekroczywszy próg, przestaje się być człowiekiem. Przez cztery tygodnie przesłuchiwali mnie każdej nocy w sprawie mojej „antysowieckiej konspiracji”. Byłem kompletnie nagi i często mdlałem, zresztą Bogu dzięki, bo przez

to mniej czułem ból. Przez resztę czasu stałem przez cały dzień, nie dostając nic do jedzenia, w kompletnie pustej piwnicznej celi. To tam zacząłem się zastanawiać, czego Bóg ode mnie oczekuje, zsyłając mi to doświadczenie. On jednak się nie spieszył, a ja trwałem w niewiedzy.

Potem przenieśli mnie do sowieckiego więzienia poza miastem. Kiedy żołnierze dowiedzieli się, że jestem księdzem posłali mnie do czyszczenia latryn. To było dobre, bo mogłem się przemieszczać. Słyszając, jak sowieccy żołnierze śpiewają, ja także zacząłem nucić ludowe melodie; przed całą trzydziestu dwóch więźniów skazanych na śmierć zaśpiewałem na tę melodię „jestem księdzem” po węgiersku, a potem łacińską formułę rozgrzeszenia *Ego te absolvo a peccatis tuis*. Ale wszystko to zrobiłem właściwie odruchowo, wciąż jeszcze nie rozumiałem Jego przekazu.

Dziewiątego września 1946 wojskowy sąd Armii Czerwonej skazał mnie na Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna dziesięć lat przymusowych robot, na podstawie paragrafu 58, punkty 2, 7, 8 i 11 sowieckiego kodeksu karnego, który karał za „antysowiecką konspirację”; pomyślałem, że to logiczne: zwyciężyli, a teraz nas niszczyli, nas i nasz świat. To nie miało nic wspólnego z prawdą, prawem czy człowieczeństwem. Później czekała mnie dezynfekcja, zamknięcie w bydłęcym wagonie, w końcu niekończąca się podróż w głodzie, zimnie, ekskrementach, krzykach i absolutnej niepewności: kiedy nas zabiją? Z obozu przejściowego we Lwowie rozrzucono nas po kopalniach w Magadanie, Karagandzie i Briańsku. Ale to właśnie w wagonie w końcu Bóg sprawił, że wszystko ujrzałem jasno. Pewien mężczyzna usłyszał tam mój głos i zapytał: «Jesteś tym księdzem z więzienia? Nie umiem powiedzieć, co dla nas znaczyło usłyszeć twój śpiew; dla nas, zamkniętych w celu śmierci; niemal wszyscy poszli na śmierć wolni od nienawiści. Na mnie wyroku nie wykonali; nie wiem, dlaczego». To był ten

moment, kiedy opuściła mnie moja głupota, pogodziłem się z Bogiem, zrozumiałem raz na zawsze, że tu nie chodziło o sąd i skazanie mnie; to On mnie posłał jako swego robotnika dusz, żebym pocieszał i wspierał swoich towarzyszy niedoli. Dla mnie wszystko było łatwiejsze niż dla nich: nie zostawiałem ani żony, ani dzieci, miałem za to przygotowanie duchowe”.

Odbijające się w spojrzeniu emocje, zawieszony z wahaniem gesty, chwile ciszy, poszukiwanie właściwego słowa towarzyszą tylko napomknieniom o wydarzeniach z życia poobozowego. Za każdym razem sposobem na wybrnięcie z nich jest powrót do wspomnień o gułagu lub tych świeższych, z oficjalnego powrotu na łono Kościoła lub honorowych odznaczeń przyznanych przez państwo węgierskie, lecz przede wszystkim do Boga i jego planów, o których mówi jak o mądrych żartach bliskiego i drogiego przyjaciela.

## „Poszukiwać i przechowywać drobne radości”

Károly Placid Oloffson dociera do obozu w Briańsku bosy, ponieważ buty stracił w wagonie. Tego dnia przyjaciel pomoże mu zrobić chodaki z kawałków drewna. Pamięta, że w dniu przyjazdu było 46 stopni mrozu, przed nim roztaczał się niekończący się las – cichy, mroźny i niezamieszkały – oraz fabryka mebli wznoszona pośrodku obozu liczącego ponad pięćdziesiąt tysięcy więźniów. Posłany do cięcia drewna szybko opada z sił – waży już niespełna czterdzieści kilogramów i „czuje, że umiera”. Ratuje go myśl o swoim „zadaniu” – zrobić wszystko, by odprawić mszę świętą – i pomoc rodaków. Zna trzy msze na pamięć, ale posłużenie się w nich wilgotnym, obozowym chlebem z owsa i wódką, jak sądzi, byłoby „poniżeniem Boga”. Okazuje się jednak, że wśród obywateli sowieckich, uprawnionych do otrzymywania raz na jakiś czas paczek, niektórzy Polacy i Litwini mają opłatek – rodzaj hostii, tradycyjny



symbol rodzinnej wspólnoty, którym głowa rodzina dzieli się z bliskim przy świątecznej choince – wymienia więc na niego swój chleb. Od pewnego włoskiego jezuita, ojca Leona, dowiaduje się też między innymi, że papież Pius XII dopuścił, w stanie wyższej konieczności, stosowanie zamiast wina soku z winogron. Zwraca się zatem do Gruzinów i Ormian, by wymienili się z nim na rodzynki, z których – owocek po owocku – wyciska nocą sok.

„Nocami walczyliśmy z pchłami, głodem i zimnem, lecz mimo to recytowałem mszę świętą i wypowiadałem błogosławieństwo. Bracia kalwini mówili, że nam zazdrosną, ponieważ w sakramencie spowiedzi otrzymujemy Boskie wybaczenie: w tym piekle to pozwalało zachować człowieczeństwo”.

Zapasy opłatka wyczerpały się, jednak pewnego dnia, stojąc w kolejce do kuchni Placid słyszy jak jakiś mężczyzna odmawia przyjęcia chleba – „Rzecz całkiem niesłychana”. Pobożny Żyd, nie mogąc jeść Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna chleba na zakwasie [przez sześć tygodni przed świętem Jom Kipur], żył dzięki macy przesyłanej przez małą żydowską gminę z Moskwy. Placid zwraca się do niego z prośbą o praśniki, bo „skoro Jezus jadł je w czasie Ostatniej Wieczerzy, powinny się nadawać”. Żydowski rozmówca zgadza się i Placid może wrócić do odprawiania mszy świętych.

„Węgierski benedyktyn, więzień polityczny, w sowieckim gułagu odprawia mszę świętą z hostią-chlebem otrzymanym od żydowskiej gminy z Moskwy – tylko Bóg może coś takiego wymyślić. Widząc to, żaden z moich współtowarzyszy nie wrócił jako niewierzący lub antysemita” – powie nam z żywą radością.

Podczas tych mszy świętych Placid stara się za wszelką cenę wbić swoim rodakom w głowy „cztery zasady przetrwania”, które narzucił sobie w czasie pierwszych miesięcy w obozie.

„My, Węgrzy, przeżyliśmy już Tatarów, Turków, Habsburgów i Hitlera. Musimy teraz, z pomocą tych samych reguł,

przetrzymać Stalina. Po pierwsze, nigdy nie dramatyzować cierpień, ani w myślach, ani słowami. Po drugie, szukać i przechowywać w pamięci małe radości każdego dnia. W tym celu organizowałem cotygodniowe mistrzostwa małych radości, które moi współtowarzysze opowiadali nocą po mszy świętej. Jednemu z nich udało się kiedyś znaleźć szesnaście małych radości jednego dnia – na przykład uniknął skonfiskowania kawałków drewna, które przyniósł po pracy do zagrzania wody, zobaczył przyjaciela, który wyszedł z choroby, dostał papierosa itd. Ten człowiek powiedział, że tego dnia był tak pochłonięty szukaniem i zapamiętywaniem radości, że nie miał czasu myśleć o tym, że jest więźniem. Trzecia zasada: nigdy nie myśleć o sobie jako „niewinnym” i ofierze, lecz raczej jako chwilowo pokonanym i pielęgnować w sobie człowieka. Czwarta: Bóg jest we wszystkim, czego możemy się uchwycić, by ulżyć w cierpieniu i zachować swoje człowieczeństwo”.

W 1952 roku Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna „Bóg miał znowu szalony pomysł”. Wycieńczony Placid dowiaduje się, że polski kolega zarekomendował go obozowym władzom jako „malarza”. Wykonuje więc trzydzieści dziewięć portretów, głównie oficerów i ich rodzin, lecz także „więziennej elity: największych złoczyńców, wszystkich bez wyjątku Rosjan”. Ich przywódca, zabójca dwudziestu sześciu osób, z których większość zabił już w obozie, pewnego dnia przynosi mu lusterko i poleca wymalować na nim portret kochanki. Zdjęty trwogą Placid maluje w końcu „postać przypominającą Maryję Pannę”. Morderca, wielce zadowolony, roztacza odtąd nad nim parasol ochronny. Portrety sprzedane władzom obozu pozwalają mu zdobyć więcej jedzenia, w efekcie w ciągu roku przybiera dwadzieścia kilogramów.

W styczniu 1953 roku w obozie pojawia się trzydziestka więźniów z dalekiej północy, w tym jeden Węgier. To on przekazuje Placidowi pozbawioną okładek książkę, którą, jak

mówi, znalazł w szczelinie muru „czarnej” celi karnej w swoim obozie, a którą kartkował bezustannie w czasie swego odosobnienia. Ukrywając ją następnie na sobie, mimo jakichś dwudziestu rewizji – „to był prawdziwy cud” – zdołał przemyścić to węgierskie wydanie Nowego Testamentu z 1930 roku do nowego obozu.

„Podzieliśmy go na pojedyncze kartki i ukryliśmy, zagrzebując w ziemi. Opłakiwaliśmy każdą znaną i skonfiskowaną stronę. Jednak wieczorami... nie było już wierzących i niewierzących, tylko węgierskie słowa... Od ośmiu lat nie widziałem łacińskich liter: czytaliśmy je wygłodniali, wymieniając się stronami każdego dnia. Wcześniej moi koledzy mówili tylko o jedzeniu... Aby wyrwać nas z tego ogłupienia zaproponowałem, by każdy szukał na swojej stronie przykładów reguł przetrwania. Cóż to była za radość pomóc innym w odkryciu tyłu rzeczy. Nie trwało to długo, bo w cztery miesiące wykorzystaliśmy wszystkie strony...”.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Znajomość niemieckiego pomaga ogromnie Placidowi w nawiązywaniu kontaktu z tymi, których nazywa „Europejczykami” (Bałtami, Polakami, Ukraińcami, Czechami, Ormianami), ale szybko uczy się też rozmawiać po rosyjsku z „Żydami i mieszkańcami Kaukazu” oraz pisać, przygotowując obozowe gazetki ściennie.

We wrześniu 1955 roku zaczyna krążyć plotka: w wyniku interwencji kanclerza Adenauera niemieccy więźniowie będą repatriowani. Wśród osiemdziesięciu ośmiu Węgrów pracujących w fabryce mebli kiełkuje nieśmiała nadzieja. W końcu pewnego dnia, komendant potwierdza, że wkrótce opuszczą obóz. Wtedy dyrektor fabryki wychodzi z siebie: bez tych robotników za nic nie zdoła zrealizować założonego planu produkcji i zagrozi mu deportacja. „Plan był bogiem komunistów” . Wtedy ojciec Placid proponuje swoim rodakom, by „zwycięzcy obeszlą się elegancko

ze zwycięzonymi” i mówi dyrektorowi: „Po dziesięciu latach obozu, wiele nas to kosztuje, ale zostaniemy z własnej woli sześć dni dłużej, by wypełnił pan miesięczny plan”. „Nie wierzyli własnym uszom: komendant powiedział, że Węgrzy to jacyś szaleńcy i że w całej historii ZSRS coś podobnego jeszcze nigdy się nie zdarzyło!”

Listopad 1955: w wagonach, tym razem otwartych, wiozących ich na południe, mówią tylko o powrocie. Niektórzy przypominają swoją nienawiść, gorycz, strach i pragnienie zemsty. „Jeśli o mnie chodzi, powiedziałem, że nie możemy zaczynać nowego życia płacząc nad cierpieniami, jakich doznaliśmy w ZSRS i że w naszym kraju też wszyscy musieli w tym czasie przełknąć swój ból i patrzeć w przyszłość”.

Minąwszy Lwów docierają do granicy węgierskiej i znowu zostają zamknięci w wagonach – „żeby ludzie nie mogli nas zobaczyć”. Kiedy wysiadają z pociągu na dworcu w Nyíregyházie, Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna oficer policji gratuluje im „powrotu do ojczyzny”. W odpowiedzi więźniowie intonują starą patriotyczną pieśń, ale okazuje się, że ta jest teraz zakazana. Oficer proponuje, by odśpiewali *Międzynarodówkę*, ale „ponieważ nie znaleźliśmy jej, zaczęliśmy śpiewać hymn narodowy, który – Bogu dzięki – nie zmienił się”. Zaproszeni do zjedzenia posiłku w dworcowej restauracji, osłupieni „luksusem” w postaci sztucców i naczyń, byli więźniowie mówią między sobą: „A jeśli przygotowują się do egzekucji? Wyglądają jakby się nas bali”.

Wieczorem w pociągu ojciec Placid po raz ostatni celebruje mszę świętą z rodzinami i „sowiecką” macą. Rozmowy i śmiechy poprzedzające rozstanie ułożą się w całość ze „strachem” węgierskich policjantów, którzy zdają się podejrzewać, że byli więźniowie wracają do kraju jako agenci KGB.

# Wydawnictwo Akademickie DIALOG

specjalizuje się w publikacji książek dotyczących języków, zwyczajów, wierzeń, kultur, religii, dziejów i współczesności świata Orientu.

Naszymi autorami są znani orientaliści polscy i zagraniczni, wybitni znawcy tematyki Wschodu.

Wydajemy także przekłady bogatej i niezwyklej literatury pięknej krajów Orientu.

Redakcja: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/219

tel. (0 22) 620 32 11, (0 22) 654 01 49

e-mail: [redakcja@wydawnictwodialog.pl](mailto:redakcja@wydawnictwodialog.pl)

Biuro handlowe: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks (0 22) 620 87 03

e-mail: [biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl](mailto:biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl)

[www.wydawnictwodialog.pl](http://www.wydawnictwodialog.pl)

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

## Serie Wydawnictwa Akademickiego DIALOG:

- Języki orientalne
- Języki Azji i Afryki
- Literatury orientalne
  - Skarby Orientu
  - Teatr Orientu
- Życie po japońsku
  - Sztuka Orientu
  - Dzieje Orientu
- Podróże – Kraje – Ludzie
  - Mądrość Orientu
- Współczesna Afryka i Azja
  - Vicus. Studia Agraria
  - Orientalia Polona
- Literatura okresu transformacji

- Literatura frankofońska
    - Być kobietą
    - Temat dnia
    - Życie codzienne w...
- Prowadzimy sprzedaż wysyłkową